

Indianie dumnie nazwali górę Kamienny Strażnik czyli Aconcagua, my – Anka, co znaczy mniej więcej to samo. Jeszcze bardziej niż jej wysokość (6962 m n.p.m.), imponująca jest liczba różnych „naj” zamieszczonych w licznych opracowaniach. Jak się nie oprzeć takim określeniom jak najwyższa góra Ameryki Południowej, najwyższa góra obu Ameryk, najwyższy szczyt półkuli południowej, najwyższy szczyt półkuli zachodniej, najwyższy szczyt poza Himalajami itp. Przy takim portfolio, Everest może jedynie wziąć numerki i ustawić się w kolejce.

Siedemnastego stycznia 2008 o godzinie siedemnastej spotykaliśmy się (autor i jego brat) z Ryśkiem, na lotnisku w Katowicach, skąd lecimy do Frankfurtu. W Niemczech dołączyła warszawska część grupy i przesiadliśmy się do Jumbo Jeta. Dwunastogodzinny lot Boeingiem z Frankfurtu do Sao Paulo okazał się próbą wytrzymałości, głównie za sprawą taboretów dumnie nazwanych przez Lufthansę fotelami, na których bez marudzenia, góra przez 15 minut, wysiedziałyby jedynie Hobbit. Na szczęście warunki atmosferyczne nad morzem śródziemnym zapewniły nam gimnastykę w postaci turbulencji, po których siedzący obok mnie Brazylijczyk, do końca lotu grzebał palcem w ustach sprawdzając czy wszystkie plombki są na miejscu.

Lot z Sao Paulo do Santiago de Chile to już przysłowiowa Ameryka za sprawą komfortowego Airbusa linii Swiss.

Santiago przywitało nas pełnią lata i chmurą namolnych naganiaczy oferujących wszelkie usługi, w tym transportowe. Ryśiek wynajął busa i po kilkudziesięciu minutach byliśmy w sercu siedmiomilionowej stolicy, w skromnym ale przytulnym hoteliku, pamiętającym czasy kolonialne. Podniecenie wzięło górę nad zmęczeniem i po prysznicu zdecydowaliśmy się na dłuższy wypad na miasto. Santiago robi ogromne wrażenie i to nie przez architekturę, egzotykę,

nowoczesność czy rozwiązania komunikacyjne ale przez wszędzie wyczuwalny luz i wewnętrzny spokój będący chyba immanentną cechą Chilijczyków.

Nazajutrz (19.01.08), nie bez przygód wyruszyliśmy do Argentyny. Szofer wczorajszego busa, który obiecał zawieźć nas do Mendoza, zmienił zdanie przez noc i wysadził nas przy centralnym dworcu autobusowym. Nawet lepiej się stało, ponieważ Ryśiek wynajął Sprintera co, dawało nadzieję na bezpieczne pokonanie serpentyn i przełęczy między Chile i Argentyną.



Po dotarciu do granicy przypomnieliśmy sobie, co to znaczy biurokracja i wyczekiwanie w kilometrowych kolejkach. Na szczęście inteligentni funkcjonariusze służb granicznych usprawnili zawile procedury poprzez ich urynkowanie. Sposób był prosty. Wystarczyło jedynie wrzucić do czapki mundurowego jakieś drobniaki i pieczętka Argentyńska pojawiała się w paszporcie w jednej chwili. W międzyczasie wdaliśmy się w rozmowę z sympatycznym celnikiem, który wyjaśnił nam, że słowo Polacos określa w Argentynie ludzi o jasnej cerze i nie ma związku z narodowością, choć prawdopodobnie etymologia słowa związana jest z wielką emigracją Polaków do Argentyny w czasach jej rozkwitu na początku XX wieku.

Kilometr lub dwa od granicy znajduje się wejście do Parku Narodowego Aconcagua, jednak żeby tam się dostać, trzeba wykupić pozwolenie w oddalonej o 200 km Mendozie.



20.01.2008 Mendoza

Noc spędziliśmy w małym hoteliku na obrzeżach miasta. Rano udaliśmy się do agencji sprzedającej pozwolenia – niestety jeszcze zamknięte. Z informacji na drzwiach nie bardzo wiadomo, czy w ogóle będzie czynne. Zaczyna świtać myśl o wejściu na Aconcague polską techniką, czyli przez

płat. Przynajmniej zaoszczędzimy 330 USD. Niestety w końcu pojawiły się miłe panie i chcąc nie chcąc wypełniliśmy stosowne formularze. Kiedy z ciężkim sercem przyszło do uiszczenia opłaty w wyżej wymienionej kwocie, okazało się, że kasa agencji w dniu dzisiejszym jest nieczynna. Widząc nasze zbaraniałe miny, miłe panie poinformowały nas, iż na drugim końcu miasta jest mały Urząd Pocztowy, gdzie w niedziele pracują – chyba. Dostałem ataku śmiechu a Rysiu – furii. W końcu dotarliśmy do upragnionej poczty. Pozostało jedynie wrócić do agencji i odebrać pozwolenia.

Tego samego zrobiliśmy zakupy w hipermarkecie i pick upem wróciliśmy do Puente del Inca.



Puente del Inca (2800 m. n.p.m.) jest malowniczą osadą na granicy argentyńsko-chilijskiej, skąd pieszo, tylko godzina może dwie do granic Parku Narodowego, gdzie Rangersi sprawdzają pozwolenia. Zanim tak się stanie, czekają nas jeszcze dwie doby na tej wysokości, niezbędne do prawidłowego zaaklimatyzowania się. Pierwszego dnia ograniczyliśmy się do złożenia bagażu w Agencji Rudiego Parry, gruntownej lustracji miejscowego bazaru oraz zrobieniu paru fotek przy

– interesującym geologicznie – naturalnym moście.



Natomiast wieczorem czekała nas super frajda – noc pod gołym niebem na balkonie, do którego Rudy Parra zapomniał dobudować dom. Nigdy tego nie zapomnę, ponieważ całą noc gapilem się w południowe niebo, a szczególnie w krzyż południa. Zaczęłam zasypiać jak Rysiek zaczął wstawać.

21.01.2008

Czuję się jak po samogonie, no ale jak można się czuć po nieprzespanej nocy na 2800. Po śniadaniu wyruszamy na pierwszy trekking kierując się trawiastym zboczem na dobrze widoczną przełęczkę. Na górze okazuje się, że dalsza droga prowadzi lufciastym trawersem, który stopniowo opada, kończąc się w wąskiej dolinie przeciętej strumieniem. Wybór dalszej drogi podzielił grupę. Część poszła w górę do podstawy ściany, tam szukając rozwiązań, z kolei druga grupa poszła najpierw wzdłuż strumienia a potem ostro w górę osiągając wysokość mniej więcej 4000 m n.p.m.

22.01.2008

Dzień bez historii. Krótki spacer do bram parku narodowego skąd doskonale widać południową

ścianę Anki. Metodą Japońsko-Chińską pstrykamy dziesiątki zdjęć.



23.01.2008

Parę minut po trzeciej nad ranem zaczęliśmy powoli się budzić. Wyjście ze śpiwora, pokrytego rosą nie należy do przyjemności, tak jak i próba zjedzenia czegokolwiek. Na szczęście, w moim przypadku, wszystkie próby były nieudane. Jest stosunkowo zimno, ale ubieram się lekko, mając na względzie przewidywane tempo marszu i nieunikniony wschód słońca. Początkowo idziemy łatwym terenem, jednak później, miejscami robi się niebezpiecznie. Całe szczęście, że jest ciemno i dokładnie nie widać co pod nami. Mniej więcej w połowie drogi do Confluencji mijają nas Gauchos i muły z naszymi bagażami. Potem pojawiają się kolejne i tak już będzie cały dzień. Kłopot z nimi polega na tym, że po przejściu takiej karawany unoszą się kilometrowe chmury pyłu, wchodzącego dosłownie wszędzie, a szczególnie w układy optyczne kosztownych lustrzanek.

W odróżnieniu od większości zespołów mijamy Confluencję, przekraczamy Rio Horcones i stajemy u wrót przepięknej, ale pustynnej doliny otoczonej pięciotysięcznikami. Odpoczywamy w jedynej tutaj, ubogiej, trawiastej oazie jakby przeczuwając, że czeka nas morderczy psychicznie

(choć łatwiutki technicznie) odcinek doliną Horcones.



Po dojściu do Plaza de Mulas wizualizują się na twarzach selektywne warunki atmosferyczne, odmienne od tych, do których przywykły nasze organizmy (mała ilość tlenu, ciśnienie ok. 600 hPa, przewyższenie 1600m). Najdotkliwiej odczuł to Rafał, który po karkołomnym wyścigu z Ryśkiem doszedł do bazy pierwszy i jeszcze rozbił namioty. Wysiętek był jednak na tyle duży, że wyglądem przypominał Quasimodo z sinymi wargami, opuchniętą twarzą i oczyma sterczącymi daleko poza obrys głowy.



24.01.2008

Szef dał nam dzisiaj urlop. Ciągłe mamy trudności z oddychaniem a niektórzy także z uporczywym bólem głowy. Kilka szybkich kroków zwykle

kończy się zawrotami głowy i silną zadyszka. Z braku lepszego zajęcia zwiedzamy Plaza de Mulas, będącym bazą i namiotowym miasteczkiem alpinistycznym, gdzie można zjeść, wypić, znaleźć hotel, zadzwonić, połączyć się z internetem, wziąć gorący prysznic i korzystając, że jest się umyтым – wynająć Argentynkę na noc. Na tym etapie aklimatyzacji nie wszystkim tutejszym atrakcjom dałoby się sprostać, zważywszy, że jedyne co puchnie to palce u rąk. Z atrakcji wybraliśmy knajpę z Colą za 10 USD i frytkami z czasów Evity Péron, za tyle samo.



25.01.2008

Noc była dla mnie koszmarem. Niedotleniony mózg kreuje wizje jak po bieszczadzkich grzybkach. Rano, zupełnie rozbity, boję się nawet spojrzeć w stronę szczytu, z kolei chłopcy wychodzą do Nido de Condores na 5400 m. n.p.m., wynosząc część sprzętu niezbędnego do założenia jedynek. Zostają, to znaczy włączę się po morenach rozsianych wokół Plaza de Mulas fotografując penitenty – formacje lodowe charakterystyczne dla Andów.

Wieczorem wracają chłopaki, a właściwie to, co z nich zostało.



26.01.2008.

Tym razem spałem lepiej. Po śniadaniu ruszam w górę z plecakiem wypchanym po brzegi. Wielki plecak w wielkich górach to wielki problem zwłaszcza, gdy trzeba wnieść go o ponad 1000 m wyżej. O dziwo, idę jednak wyjątkowo lekko, mijając kolejne grupy, przy tętnie rzadko przekraczającym 100. Niewiele ponad cztery godziny zajmuje mi dojście do Nido de Condores (5400 m. n.p.m.), choć pod koniec coraz wyraźniej odczuwam brak tlenu i niskie ciśnienie. Na miejscu rozbijam namioty z Rafałem Ferdynem i zostawiam depozyt niezbędny do dalszej akcji górskiej. Po około dwóch godzinach zaczynamy schodzić a właściwie zjeżdżać na butach po stromych piarżyskach masywu.

Nido de Condores jest potężnym wypłaszczeniem wielkości kilkunastu boisk piłkarskich – idealnym miejscem do założenia obozu I. Widać stąd wierzchołek główny i część drogi, włącznie z nieprzyjemnym trawersem łączącym Independencję z wlotem do Canalety.

27.01.2008

Dzień odpoczynku. Pałętamy się po obozie bez wyraźnego celu.

Wieczorem odwiedzają nas Łotysze, którzy tego dnia zdobyli szczyt. Potwierdzają wiadomość o śmierci młodego Rumuna gdzieś między Nido a Colerem. Prawdopodobnie przyczyną zejścia był obrzęk mózgu.

Gołę się, jem śniadanie i idę spać.

28.01.2008

Wstaję o 6.45 czasu miejscowego czyli o 9.45 czasu polskiego. Dzisiaj wychodzimy do obozu I z nadzieją atakowania szczytu za 3-4 dni. Zjadam obrzydliwą zupę mleczną, która coraz bardziej zaczyna mi smakować, pakuję się i w drogę. Krok za krokiem monotonnym, stromym piarżyskiem w górę. W końcu jesteśmy w obozie I, w kondycji wyczuwalnie lepszej niż ostatnio. Warto tu być, szczególnie wieczorem, kiedy słońce – prostopadle, jak rzutnik multimedialny – oświetla ściany Anki różnymi odmianami czerwieni.

29.01.2008

Rano w namiocie jest minus 13°C. W puchowym śpiworze Małachowskiego to żaden mróz, choć daje w kość padający deszcz z sufitu, ze skroplonych oddechów. Po śniadaniu czyli zupie mlecznej, odwiedza nas Alek Lwow, który dzień wcześniej gościł na szczycie.

Dzisiejszym celem jest założenie „dwójki” w Plaza Colera na 6000 m. n.p.m. Wychodzimy wczesnym popołudniem i po 2-3 godzinach jesteśmy na miejscu. Niestety w Colerze dopada nas zamieć z przenikliwym wiatrem. Szybko rozkładamy dwuosobowy namiot i w piątkę (nie ma pomyłki), wraz z wielkimi plecakami mieścimy się w środku. Popołudniowe załamanie pogody jest pewną prawidłowością na Ance, po którym, zwykle pod wieczór wychodzi słońce. Tak też się stało, Nido przywitało nas pełnią lata.



30.01.2008

Coraz zimniej a pogoda także się robi mniej przewidywalna. Powtarzamy schemat z dnia poprzedniego, wynosząc drugi namiot, sprzęt i prowiant potrzebny do przeżycia dwóch nocy na 6000 m oraz – ataku szczytowego. W Colerze zamieć jeszcze gorsza niż wczoraj. Zgodnie z koncepcją Ryśka czterech z nas spędzi noc na górze, natomiast Rafał schodzi do Nido. Nie wiem, co lepsze, ponieważ sen na 6000m nie ma nic wspólnego odpooczynkiem. Z niepokojem patrzymy w niebo, wypatrując oznak zmiany pogody. Ta przychodzi dopiero w nocy.



31.01.2008 Dzień sądu

Otumanieni wstajemy późno. Budzą nas odgłosy opuszczających obóz Amerykanów, Argentyńczyków i Francuzów. Jest piękna gwiazdzista noc. Zanim się pozbieramy minie przynajmniej godzina i pewnie Rysiek już tu będzie. Na tej wysokości problemem się staje ugotowanie czegokolwiek, a jest to konieczne ze względu na ogromny wysiłek i odwodnienie, którym będziemy poddani. Wraz z Pawłem potrzebujemy przynajmniej 3,5 litra przegotowanej wody, bez tego może być niewesoło. Dopiero po 1,5 godzinie udaje nam się przygotować odpowiednią jej ilość i wychodzimy. Początkowo idziemy dość łatwym terenem – przynajmniej teoretycznie – ponieważ wysiłek z każdym metrem jest coraz większy. Oglądam się za siebie, ale nie widzę ani Ryśka ani Rafała. Idę na 50-60% monitorując od czasu do czasu tętno i jest dobrze, ciągle poniżej 100. Paweł, z którym idę też jest w świetnej dyspozycji. W końcu wstało słońce i zrobiła się piękna pogoda – niestety wkrótce się załamanie. Dochodzę do Independencji i odpoczywam czekając na Pawła. Pomimo braku zmęczenia i dobrej dyspozycji psychicznej jestem bliski rezygnacji. Problemem stały się zawroty głowy. Odpoczywam chyba z godzinę. W tym

czasie doganiają nas Krzysiek i Jacek. W końcu jednak decyduję się iść w górę do wyjścia na trawers. Na początku jest fatalnie, ale z czasem zawroty zaczynają ustępować. Na stromym trawersie stopniowo wraca równowaga i wiara w sukces. Jest niemiłosiernie mało tlenu, jednak inni mają go jeszcze mniej, ponieważ wyprzedzamy z Pawłem dwie grupki podczas trawersowania w kierunku Canalety. U wlotu do żlebu czekamy na resztę. W końcu także pojawia się Rysiek z Rafałem a wraz z nimi chmury i śnieg. Ostatnie 270 metrów Canaletą to naprawdę duży problem w związku z ekspozycją, wysokością i zmęczeniem. Kondycyjnie czuję się wciąż świetnie, ale znowu zaczynają wracać zawroty. Trudno idę w górę, za mną Rysiek a dalej nie widać. O godzinie 14.30 osiągamy wierzchołek a w kilkunastominutowych odstępach – cała reszta drużyny. Najwyższy szczyt półkuli południowej i zachodniej został zdobyty. Oczywiście towarzyszyły temu okolicznościowe okrzyki, wniesiona przez Rafała mikrobutelczka szampana oraz fotki robione przy charakterystycznym krzyżu. Niestety pogarszająca się pogoda stopniowo wypraszała nas ze szczytu.



Czekało nas jeszcze niebezpieczne zejście, z którego kilkadziesiąt minut wcześniej spadł kanadyjski lekarz na oczach chłopaków.

Szczęśliwie zatrzymał się po 40m i z niewielkimi obrażeniami zszedł o własnych siłach. Nasza grupa dość sprawnie pokonała zejście Canaletą, chociaż po koniec, Jacek, któremu zaaplikowałem antybiotyk miał silny kryzys. Wieczorem byliśmy w dwójce a Rysiek i Rafał schodzili prosto do jedyńki – szczęściarze.



01.01.2008

Rano dość długo się zbieramy, zajmując się głównie suszeniem śpiworów i namiotów. Wychodzimy dopiero koło południa, poruszając się ostrożnie ze względu na świeżą pokrywą śnieżną, która nie daje nam szans na zejście bez użycia raków. W końcu docieramy do – opuszczonego kilka dni wcześniej – obozu udając się od razu do namiotowej knajpy celem wiadomo jakim. Atmosfera jak to w tawernach – pijacko-podniosła. Wśród biesiadników odnajduje się wczorajszy Kanadyjczyk, znieczulający rany na twarzy alkoholem, bynajmniej nie poprzez jego wcieranie. Dosiadamy się do sąsiedniego stolika i przy kolejnych butelkach wina, gawędzimy z Kanadyjczykami do późna w nocy.



02.02.2008

Przesyceni górami, pośpiesznie pakujemy plecaki i po piwku w schronisku schodzimy w dół fotografując, co się da. Po mniej więcej godzinie marszu wyprzedzają nas muły z naszymi worami transportowymi. W czasie, gdy karawana pokonuje stosunkowo trudny teren, mocowanie bagaży na jednym z mułów pęka, wory transportowe spadają na ziemię i zsuwają się stromym zboczem do chwili naprężenia jakiejś dodatkowej liny zabezpieczającej. Zwierze wpada w panikę a my powoli żegnamy się z bagażami. Na szczęście w porę pojawiają się Gauchos i stopniowo opanowują sytuację.

Kilka godzin później, podczas próby przejścia na skróty do Confluencji, Jacek gubi plecak w mętnych wodach Rio Horcones, zawierający między innymi aparat z setkami zdjęć z wyprawy. Cała piątka włącza się w gorączkowe poszukiwanie Nikona D-80 z nadzieją uratowania przynajmniej kart pamięci. Niestety bez skutku – lustrzanek diabli wzięli.

03.02.2008

Rano lecimy na policję z nadzieją, że jakimś cudem uda się odnaleźć zgubę. Drzwi otwiera

opasły El Commandante, któremu streszczam historię plecaka. Pod koniec wywodu, na wszelki wypadek, pytam czy rozumie po angielsku. Za nim odpowiedział, wydułbał z nosa pokąsną kożę, z której zrobił kulkę i pstrykiem posłał w ką. Ta jednak z hukiem odbiła się od ściany i wróciła do jego buta jak piłka do Ronaldinho. Potem pokręcił przecząco głową.

W Puente del Inca, poza policją, godny uwagi jest bazar, na którym można kupić ciekawe pamiątki, regionalne ubrania i wiele innych interesujących rzeczy o umiarkowanej cenie i naprawdę przyzwoitej jakości.



Po południu opuszczamy Argentynę i wracamy do naszego hotelu w Santiago.



04.02.2008

Wyruszamy nad ocean do Valparaiso z nadzieją na wynajęcie łajby wyposażonej w sprzęt do łowienia

Rafał Bobiński – Wagary z Kamiennym Strażnikiem

ryb trochę większych niż śledzie. Niestety nie mają. Skazani na plan B, kąpiemy się w oceanie, zwiedzamy miasto i wieczorem wracamy do stolicy.

05-07.02.2008

Ostatnie dni spędzamy w Santiago na zakupach i zwiedzaniu. W końcu, zmęczeni odpoczynkiem z radością wsiadamy do Airbusa. Trasa przelotu samolotów kierujących się do Sao Paulo biegnie dokładnie nad Anką, wobec czego mamy nadzieję

na ostatnie zdjęcia. Niestety, przykryły ją chmury. Nie widzieliśmy jej więcej.



Zdjęcia i tekst Rafał Bobiński



Uczestnicy wyprawy od lewej: Rafał Ferdyn, Rafał Bobiński, Krzysztof Dymek, Paweł Bobiński, Jacek Stielow.

Informacje dodatkowe

Trasa przelotu: Katowice – Frankfurt (1,35h), Frankfurt – Sao Paulo (11,50h), Sao Paulo – Santiago de Chile (4h)

Ciśnienie atmosferyczne: Puente del Inca – 740, Plaza de Mulas – 620, Nido de Condores- 517, Plaza Colera – 467, szczyt – 418.